

Stanisław Misztal

„Hwiej” (1942–2012)

Jerzy Zygmunt

▷ Fot. A. Jaskulski



Po raz kolejny przyszło mi się zmierzyć z niewdzięcznym i nieulubianym tematem, jakim jest ostatnie pożegnanie Przyjaciela. Ale to już chyba takie przeznaczenie kogoś, komu już dawno posiwiła czupryna. Niestety, jakby efektem ubocznym tego stanu jest poszerzająca się wokół pustka. Każdego roku ubywa towarzyszy moich podziemnych przygód. W czerwcu br. w wieku 69 lat odszedł Stanisław Misztal, znany w środowisku jaskiniowym jako „Hwiej”. Czasy Jego górskiej świetności przypadły na lata 60/80. XX w., czyli na okres komuny, który większość czytelników JASKINI, a więc i aktualnie działających grotolarzy zna z lekcji historii. Swoją wyjątkowo oryginalny pseudonim górski „Hwiej” zawdzięczał ulubionemu słówku, którym w sposób wyważony i kulturalny określał zarówno osoby, jak i rzeczy, a nawet zastępował nim zwroty nieuczynalne.

Z „Hwiejem” zetknąłem się w połowie lat 70., kiedy studiowałem w Katowicach biologię. Jako reprezentant Speleoklubu Częstochowskiego brałem udział w naradach tzw. Okręgowej Komisji Speleologii, która nadzorowała wszystkie kluby woj. katowickiego. Ciało to, zwane w skrócie „OKSpel” (mówiło się: *okaespel*), było zarządzane ściśle wg stalinowskich reguł (co z jednej strony nawet w tamtym okresie było stosunkowo śmieszne, a z drugiej – żałosne) i próbowało narzucać członkom śląskich klubów ideologię PZPR. Oczywiście było to przedmiotem kłótni i zatargów. I często jedyną osobą, która z dużym talentem i wyjątkowym taktem potrafiła załagodzić sytuację, był „Hwiej”. W odpowiednim momencie, czyli już po utworzeniu PZA, został przywódcą „rebelii”, która zaowocowała usamodzielnieniem wielu śląskich klubów. To wtedy, także z inicjatywy „Hwieja”, powstał tzw. Zagłębiowski Klub Taternictwa Jaskiniowego, zrzeszający trzy kluby: SC Dąbrowa Górnicza, Aven Sosnowiec i Akademicki przy UŚ, który przez okres kilku następnych lat wykazał się bardzo ożywną i owocną działalnością.

Ale po kolei. W tamtym czasie jeszcze nie było odpowiedniej swobody ani możliwości podróżowania, więc głównym polem działalności jaskiniowej była Jura i Tatry, w mniejszym stopniu także Sudety. W tym miejscu należy wspomnieć o Ogólnopolskim Obozie Speleologicznym w Tatrach Zachodnich, jaki corocznie odbywał się, najpierw na Groniku, potem na Polanie Rogoźniczańskiej. Nie było

wtedy w Polsce grotolarza, który by nie przeszedł przez szkołę życia na tym obozie. Co tam się nie działo...? Zresztą, nawet teraz, gdyby udało się zorganizować adekwatny, 50–100 namiotowy obóz, to trudno sobie wyobrazić, aby ktoś taki żywił opanował. I właśnie „Hwiej”, jako wieloletni kierownik tych obozów, potrafił tego cudu dokonać. Oprócz talentu organizacyjnego nie bez znaczenia była tu swoista charyzma Misztala, także kultura osobista oraz wszystko, co się składa na tak zwany autorytet. To także powodowało, że przez wiele lat pełnił różne funkcje, zarówno w zarządach klubów, jak i w komisjach rewizyjnych czy nawet w Sądzie Koleżeńskim PZA.

Głównym celem wspomnianego obozu była Jaskinia Wielka Śnieżna, konkretnie idea jej oczyszczenia. Idea nigdy niespełniona, bo akcje wynoszenia śmieci jednocześnie zawsze przyczyniały się do zostawiania różnych depozytów (w tym czasie 1 płaska bateria typu Centra wystarczała na 1–2 godz. świecenia małej 3,5-amperewej żaróweczki). To było klasyczne „gonienie króliczka”, dzięki czemu obozy były stałym i pewnym punktem działalności, najpierw pod egidą OKSpel, a po roku 1974, gdy powstał PZA, także pod szyldem KTJ. I jedynie osoba „Hwieja”, niczym żywy pomnik, była zawsze na swoim miejscu, niezastąpiona i jedyna. Jestem pewien, że sporo osób zawdzięcza tym obozom swoje istnienie, co automatycznie czyniło ze Stanka także ich „Ojca Chrzestnego”.

Dla wielu grotolarzy z okresu schyłkowej komuny osoba „Hwieja” automatycznie kojarzyła się z Tatrami, ale nie zawsze w kontekście wspomnianych obozów, lecz egzaminów na stopnie taternicze. W tym czasie obowiązywały różne ich rodzaje: kandydat, samodzielny i zwyczajny taternik jaskiniowy, co przekładało się zarówno na poziom wiedzy, jak i kompetencje i związane z nimi przywileje. Aby otrzymać dwa ostatnie rodzaje stopni, należało udokumentować odpowiednie przejścia taternicze i zdać egzamin. Stanek Misztal był przewodniczącym Komisji Egzaminacyjnej KTJ PZA na Polskę południową, a Jego specjalnością była topografia Tatr. Na tym polu nikt nie mógł liczyć na pobłażliwość. Jeżeli ktoś nie znał, np. otoczenia Doliny Cichej (zgadza się! – to na Słowacji) czy drogi dojścia do Ptasiej, nie mógł nawet marzyć o zdaniu egzaminu. Niektórzy z kolegów przez

okres paru lat byli stałymi gośćmi na egzaminach, co nawet pozytywnie przekładało się na układy towarzyskie. Zasadniczość i upór „Hwieja” były słynne.

W końcu lat 70. zostały poluzowane komusze łańcuchy oraz rozpoczęła się epoka prac wysokościowych, co w efekcie eksplodowało niezwykłą ekspansją naszych grotolarzy poza granice PRL. I na tym polu Staszek, pozornie „zasiedziały” na Polanie, pokazał swoje możliwości. Na początek, w 1974 r. zorganizował 7-miesięczną (!) wyprawę do Afryki, konkretnie w góry Algierii. Potem były następne, równie egzotyczne i długie. Wszystkie cechowały się zabarwieniem naukowym. To było następne marzenie „Hwieja”: aby „zaistnieć” w nauce, czegoś dokonać, coś odkryć... Zresztą, czy my, przy naszej zwykłej i nowoczesnej eksploracji, nie kierujemy się podobnymi przesłankami? Tak się złożyło, że w tej już wielokrotnie wspomnianej połowie lat 70. na Uniwersytecie Śląskim w Sosnowcu powstał Zakład Geomorfologii Krasu, kierowany przez sławnego, opiewanego w licznych pieśniach grotolarzy Mariana Pulinę. Z kolei „Hwiej” pracował na kopalni, także w Sosnowcu. Kontakt między nimi był więc nieunikniony, szybko przeistoczył się w długoletnią współpracę. Instruktorzy PZA, w tym sam Misztal, ponadto A. Kozik, A. Chruściel i wyżej podpisany, nauczyli wielu studentów geografii bezpiecznego radzenia sobie w górach i jaskiniach. Z kolei geografowie, a szczególnie prof. Pulina, zarazili grotolarzy naukowo-poznawczą ideą. Tu na podkreślenie zasługuje rzecz wyjątkowa, związana z realizowanymi od lat wyprawami polarnymi PAN. Była nią możliwość badania jaskiń rozwiniętych wewnątrz lodowców, czyli tzw. glajcospeleologia. Nikt tego wcześniej nie robił, zresztą nikt, poza nami oczywiście, w tym czasie nie uważał tego za działanie rozsądne. I tak, w 1979 r. popłynęliśmy na Spitsbergen. Dla mnie była to jedna z pierwszych wielkich przygód, dla Stanka – zasadniczy zwrot w życiu. Tam właśnie, w Arktyce, „Hwiej” znalazł sens życia – to, czego niektórzy szukają bezskutecznie do końca swoich dni. Jak już załapał polarnego bakcyła, to nie popuścił. Co parę lat, a niekiedy co roku meldował się w Stacji w Hornsundzie, gdzie dwukrotnie nawet zimował. W sumie spędził pod biegunem trzy, a może nawet i cztery lata, choć jestem pewien, że myślami był tam codziennie. W 1998 r. miałem przyjemność uczestniczyć razem



Boczne ciągi

„Muminek” –
Przemysław Piekarski

Praca zajęta II w konkursie „Moje Jaskinie”

z „Hwiejem” w następnej wyprawie glacijspeleologicznej, by przez trzy miesiące jesieni i początku zimy badać lodowiec Torella, Werenskiolda i Hansa, i to zaledwie w trzyosobowym zespole (nas dwóch plus Adam Małachowski), wystawiając na największą próbę wyobraźnię naszych rodzin. Tu trzeba wiedzieć, że eksploracja lodowcowych studni i tuneli jest wyjątkowo niebezpieczna, ale, niestety, nieprzekładająca się na tzw. spektakularne sukcesy, kiedy to można się pochwalić osiągnięciem „minus-ileś-tam”. Maksymalne parametry zbadanych obiektów nie przekraczały głębokości 100 i długości ok. 500 m, ale też nie one były miarą wyniku. Efekty tych przedsięwzięć to wiele prac naukowych, poświęconych zagadnieniom krążenia wód lodowcowych, szybkości spływu strumieni lodowcowych i układów termicznych w ich przekrojach. My zaś mamy satysfakcję, że w tej dziedzinie, obecnie już realizowanej także w innych państwach, byliśmy pionierami, i to pionierami z „Hwiejem” na czele.

Ostatnie cztery lata Stanek spędził w Szczyrku, prowadząc bacówkę na stokach Skrzycznego. Z właściwą sobie energią stworzył tam prawdziwie górski dom, i nie byłby sobą, gdyby tego nie sformalizował, stanowiąc w nim Stację PTT. W gościnnych progach tzw. Stasikówki zawsze można było spotkać ludzi gór, czy to zwykłych wędrowców, czy też grotolazów, alpinistów i polarników. I nie tylko po to, aby przemocować czy też powspominać. Tu także rodziły się pomysły różnych inicjatyw. W 2010 r. „Hwiej” został jednym z fundatorów i członkiem Rady Fundacji Speleologia Polska.

W 2011 r. Stanek Misztal poprowadził wyprawę trekową, a jakże, na swój ukochany „Szpic”, jak zwykliśmy skrótowo określać Spitsbergen. Planował to powtórzyć w 2012 r. – na majowym spotkaniu ludzi gór w Słonecznej Willi u Małachowskiego z przejściem pokazywał mi mapę z zaznaczoną trasą. Tydzień później został znaleziony przez turystę w swoim górskim domu, bez oznak życia.

„Hwieju”! Pozostaniesz zawsze w naszej pamięci. □



△ Fot. Adam Małachowski

Stanisław Misztal był grotolazem (Speleoklub Aven Sosnowiec 1961), taternikiem (Klub Wysokogórski Zakopane 1968), polarnikiem (Klub Polarny 1979), przewodnikiem beskidzkim i numizmatykiem (medalistą).

W latach 1971–78 był organizatorem i szefem Ogólnopolskich Obozów Speleologicznych.

Uczestniczył m.in. w nast. wyprawach:

1974 – Algieria, Niger (speleologiczno-etnograficzna); **1979** – Spitsbergen (glacijspeleologiczna); **1980** – Francja, Hiszpania (przejście: Sima GESM -1100 i Gouffre Berger -1122); **1983** – Kuba (speleologiczna); **1983** – Spitsbergen (glacijspeleologiczna); **1985/86** – wyprawa polarna Polskiej Akademii Nauk; **1988** – Indie, Malesja (speleologiczna); **1998** – Spitsbergen (glacijspeleologiczna); **1999/2000** – wyprawa polarna Polskiej Akademii Nauk.

Ostatnio, jako „chatar na Polanie Hondraska”, prowadził Stację Turystyczną Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddz. Bielsko-Biała w Szczyrku.

Dlaczego boczne? Bo sam od lat jestem w bocznym ciągu, a kiedy chodziłem po jaskiniach, zawsze było któreś dno (w Bańdzochu zaliczyłem ich kilka), lepszy czas czy koniec dziury. To co zostawało z boku, czasem jakiś otwór w studni, czasem zacisk, z którego wiało, miało być na potem. Tylko że tego „potem”, już nie było.

Jeszcze jeden z wielu powodów, by zajrzeć do bocznych ciągów. W opowieściach „wspaniałych” nie ma miejsca na słabość czy śmieszność. Każdy chce być bohaterem koszącym wielkie dziury w stylu wyczynowym, a mnie zawsze coś głupiego musiało się przydarzyć. Po tylu latach jestem anonimowy. Mało kto pamięta Muminka, a w KKTJ wtedy Andrzejów było na pęczki, więc nawet jeśli jakiegos wymienię i tak nie będzie wiadomo, który to.

Zapach

Jaskinie pachną niepowtarzalnie. Jak świeżo rozorana ziemia. Czołgasz się do wyjścia i naraz czujesz leciutki zapach, w zimie chłodny, w lecie ciepły. Czasem baterie były takie słabe, że nie widziałem własnej dłoni, ale za tym zapachem mogłem się dowlec do otworu.

Zapach sizalowej liny! Czasem znajduję go w świeżo wypranych jutowych zasłonach czy workach. Inaczej pachniała lina sucha, inaczej dyndająca w wodospadzie czy w pętłach Prusicka, kiedy wisisz bez sił gdzieś w kolejnej studni.

Zapach jaskiniowej kuchni! „Kakao z łyżką gliny, pół puszkii wołowiny, czy normalny człowiek może to zjeść?” Kochery opalane denaturatem (szklane butelki lubiły pękać i zalewać wszystko w worach), potem Juwle przemycane z NRD, sowieckie maszyny benzynowe na pompkę... Pumpernikiel (jadło się po kromeczce), rosołki w kostkach, mleko z tubki...

Zapach papierosa ciągnął się za nami i przed nami. Rytuał czekania na swoją kolejkę w górę. Żeby Sporty (najlepiej radomskie w dziesiątkach) nie zamokły, trzeba było kupić prezerwatywę, dopakować zapałki i wsunąć zawiniątko pod kask.

No i zapach błota w kombinezonie (szkoda było prac) czy w kasku.

Śnieżna

Kiedyś, jeszcze bez Nad kotlinami, miała 640 metrów głębokości i była w pierwszej dziesiątce najgłębszych jaskiń świata. Nas było sześciu, głównie KKTJ, w tym trzech Andrzejów. Jeden z nich niedawno zaliczył Śnieżną z Warszawiakami, w nagrodę za retransport. Zresztą ciągle warszawskie liny w dziurze wisiły. Według naszych obliczeń mieliśmy na dno zejść w trzy godziny, a wyleźć w sześć. Ot spacerek. Za prowiant mieliśmy jednego arbuza (zeżarty jeszcze na progach przed otworem) i laskę kielbasy (zeżartą pod otworem). Na 9 godzin wystarczy. No i po dwie baterie płaskie do czołówki. W kiosku koło Harnasia dokonaliśmy rytualnego zakupu (trzeba było widzieć minę kioskarki!). Jeden po drugim powtarzał: prezerwatywę, dwie paczki sportów i zapałki.

Ubranie miałem starannie dobrane. Dołem majtki, kalessony wełniane, spodnie (dzinsy typu Szarik), górą kożuszek z koźlęciami na gołe ciało, koszula flanelowa, wełniany sweter, na to wszystko jednoczęściowy kombinezon (model Ptasznik) no i buty kopalniaki, plus dwie pary grubych wełnianych skarpet. O piankach nikt wtedy nie słyszał, kilka warstw trzeba było mieć do zjazdu